ROK PIĄTY.

№ 49.

WARSZAWA

d. 20 listopada (2 grudnia)

1860.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

NIEDZIELA.
27ma po Świątkach.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

W tem najwięcej Pana Boga naśladujemy, gdy innym dobrze czynimy. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Biedna matka.

We wsi jednej przez noc całą
Niesłychane złe się działo:
Swarzyła się córka z matką;
Jej klątwy wstrząsały chatką.
Ci, co rano bydło żeną,
Trafili na koniec jeno,
Za okienkiem podsłuchali,
Potem ludziom powtarzali
Same tych swarów ostatki,
Kilka słów córki i matki.

MATKA (z gniewem).

Porachuj, dziecko przeklęte!
Łzy przez ciebie wyciśnięte;
Z moich oczu w nichbym cała
Stojący się wykąpała.

CÓRKA (z szyderstwem).

Nic nie szkodzi, niech łzy płyną,
Z oczu wyszły, w ziemi zginą,
A kto dobrze się wypłacze,
Będzie zdrowszy. Wnet obaczę
Panią matkę, jak w gospodzie,
Za stołem siedząc przy miodzie,
Palnie jaki koncept gładki,
Z wesołością do sąsiadki.

MATKA (żałośnie).

O! wyrodne pisklę z gniazda!
Jakaż tobie smutna gwiazda
Przy urodzeniu świeciła!..
Na tożem cię wykarmiła,
Żeby się Bogu zadłużyć,
Żeby oczu nie módz zmrużyć,
Bez rozpaczy na sen wieczny?
Żeby mię sąd ostateczny
Potępił, żeby jak mara
Stała mi w myśli ta kara,
Która mię spotka za ciebie?...
Tobie, który jesteś w niebie,
Matka biedna ofiaruje,
Co w rozdartem sercu czuje.
Niezasłużonej pociechy
Odmów mi, ale za grzechy

Ten mój straszliwy, niezmierny
Żal przyjm, Boże miłosierny!

(Po tej modlitwie jakoby trochę spokojniejsza i pocieszona mówiła dalej łagodnie, ale bardzo żałośnie do córki);

Gospodę matce wymawiasz...
Na cóż jej serce zakrwawiasz?
Niech się trochę uspokoję,
To o wódkę, miód nie stoję.
Wiem, że powinnam nieboga
Uciec się w smutku do Boga,
Ale w rozpaczy przy tobie
Sama już nie wiem, co robię.
Mówisz, że łzy zginą w ziemi..
O! już więcej słowy temi
Nie odzywaj się dziewczyno!
Łzy matki nigdy nie giną,
Lecz idą szybszemi kroki
Od błyskawicy w obłoki;
Po niebie lament roznoszą,
Za nieszczęsną matką proszą,
Żeby zatrute godziny
Pan Bóg przyjął za jej winy,
I łaskawy był w karaniu,
Jeśli w dziecka wychowaniu
Nie łożyła starań wszelkich,
Że w występkach wzrosło wielkich.
Te łzy nie giną i potem,
Ale wiecznym staną płotem
Między Bogiem i tą duszą,
Z której złości płynąć muszą.
Te łzy wieki czekać będą,
Na strasznym sądzie zasiędą
Obok Sędziego mściciela
Tu niepomszczonych krzywd wiela.
Tak zrobią te łzy, dziewczyno!
Jeśli po nich nie popłyną
Ze źrenic dziecka łzy żalu,
I tych pierwszych łez nie spalą.

(dalej z nadzwyczajnym zapałem)

Dziecko biedne! twa obrona
Do czegóż jest przyczepiona?
Ty zginiesz!.. psotę niewinną,
To i owo uchybienie,
W małej albo większej sprawie
Bóg przebaczy ci łaskawie;
Ale ból macierzyńskiego
Serca, strasznie rozdartego,
Ból, jako morze głęboki,
Rozedrze górne obłoki;
Rozedrze to boskie serce
Raz już włócznią przez mordercę
Rozdarte dla twego, dziecię,
Zbawienia!

(na chwilę umilkła, spuściła głowę na piersi, twarz ukryła w dłonie, potem rzekła ze łkaniem:)

Tak obficie
Krew z tego serca płynęła!..

(wznosząc oczy do nieba, dodała):

O Boże! ta krew zginęła
Na mego pisklęcia duszy;
Jeżeli go płacz nie wzruszy,
Ty nad niem pokaż cud, Panie!
Daj mu dziś upamiętanie.

—

Tę modlitwę przerwał matce
Płacz... ucichło jakoś w chatce..
Bo córka podobno zbladła
I do nóg matki upadła.
Boże! natchnij wszystkim matkom
Takie słowa, a żal dziatkom!

Łukasz Górnicki.

Do najznakomitszych pisarzy polskich należy Łukasz Górnicki, urodzony w r. 1520 w dawnem województwie Krakowskiem. Doczekał on lat sędziwych, bo żył jeszcze w roku 1602, pamiętając i znając czterech królów polskich panujących po sobie.

Po ukończeniu nauk w akademii Krakowskiej, podróżował za granicą i w *Padwie* mieście włoskiem, słynnem z akademii, zaprzyjaźnił się ze sławnym poetą polskim Janem Kochanowskim. Powróciwszy do kraju, mianowanym został sekretarzem króla Zygmunta Augusta i objął zarząd jego biblioteki, która się wówczas składała z siedmdziesięciu ksiąg; tak to wówczas kosztowne były książki.

Król Zygmunt pan łaskawy, był jednym z pierwszych królów, który sam rad mówił po polsku i chciał, ażeby na dworze ojczystym językiem mówiono, pragnął zarazem, żeby pisarze nasi nie po łacinie, ale po polsku pisali.

Ta wola tak godna wielkiego monarchy, wpłynęła przeważnie na to, że chociaż wszyscy mogli pisać po łacinie, zaczęli pisać po polsku. To spowodowało i Górnickiego, że wszystkie prace, jakie zostawił, są w ojczystej mowie. Był starostą Tykocińskim i Wasilkowskim w późnym już wieku ożenił się z Bar-

barą Broniewską, miał pięć córek i trzech synów, z których jeden Łukasz kanonik Wileński i Warmiński, po śmierci ojca swego, *Dzieje w koronie polskiej* wydał.

Straciwszy ukochaną małżonkę w młodym wieku, bo zaledwie rok 29 życia zaczęła, w rzewnym wierszu, tak swą boleść opisał:

Czy dlatego w żywocie Pan Bóg mnie zachował,
Żebym twych postradanych cnót znacznie żałował?..
O! moja drogo żono, wierz mi, żeć dbam mało
O ten świat opłakany, gdy mi się nie stało;
Takąż ty mnie po sobie tęskność zostawiła,
Że ta słoneczna światłość najmniej mi nie miła...
Kto me maluczkie dziatki do cnoty powiedzie,
Gdyż młodość jest podobna chodowi po *ledzie*; (po lodzie)
Kto tak będzie dozorny, kto pilny, kto dbały,
Żeby me dziatki, jako ty nie próżnowały:
A tym, co są u piersi, z twą jedną osobą,
Wszystko znikło, by mogły, biegłyby za tobą.
Wiek niedojrzałyś miała, lecz dojrzałą cnotę,
I co do tego trzeba ku Bogu ochotę;
Nie było nic, czegobym w tobie nie miłował,
Przeto żaden mąż bardziej żony nie żałował.

Z pism zostawił *Dworzanina*—jest to księga nadzwyczaj ciekawa: można ją uważać za pierwszą, a najwyborniejszą powieść historyczną. W niej on przedstawił, wszystkie niemal najznakomitsze osoby, co otaczały tron wspaniały króla Zygmunta Augusta. Ślicznie po polsku napisany Dworzanin, może służyć za wzór dla chcących pięknie pisać ojczystym językiem. Zostawił także historyę swoich czasów p. n. *Dzieje w koronie polskiej* od r. 1538 do 1572; tu objął czasy, w których żył i wypadki, na które patrzał. Ciekawa to wielce księga i nauczająca.

W ostatnich latach życia pisał wiele i tłumaczył z łacińskiego języka. Najważniejszą z tych prac jest książka, poświęcona opisaniu praw i obyczajów polskich, podczas obrania króla Zygmunta 3go.

Górnicki należy do rzędu tych pisarzy, którzy dla ojczystego języka wielkie usługi oddali, i nie mało się do jego wygłady przyłożyli.

Wędrówka po kraju.

IV.

Dalej o góralach, z opowiadań Korwica.

—

Kiedy owies, z którego pieką placki, rzadko dojrzewa, kartofle ratują górali od głodu; nazywają je w jednych okolicach *grulami*, a przy *Czarnym Dunajcu rzepą*. Wiele sieją lnu, z niego wyrabiają płótno, którem wielki prowadzą handel na Węgrach. Zręcznie łowią kwiczoły i te roznoszą daleko do Warszawy, Lwowa i Wiednia. Łowy na ogromne stada tego ptastwa zaczynają w połowie października, najkorzystniejsze są w listopadzie i grudniu. Łapią kwiczoły w sidła, lub sieciami zatrzaskującemi się. W środku sieci ustawiają mały ogródek z jałowcu, w nim przywiązują chowanego kwiczoła, który wabi przelatujące, ptasznik zaś ukryty w małej budce świerczyny, czatuje i z niej sieć ściąga. Chociaż łowienie kwiczołów jest proste, trzeba mieć wiele wprawy, gdyż ptaki te są niezmiernie ostrożne i lękliwe.

Nieplenna ziemia zmusza górali do szukania zarobku w dalekich ziemiach. I tak na południe idą na Węgry, zapuszczają się aż do stolicy węgierskiej *Pesztu* i skończywszy winobranie, w końcu listopada wracają. Ale nie służy im kraina ciepła, często chorują tam na febry, i jak cienie schudzeni, wybladli, schorzali wracają odzyskać zdrowie wpośród gór rodzinnych. Na północ idą aż za Warszawę, pod Rawę, Pułtusk i Płock. Kiedy ze swoich gór wychodzą na zarobek przed świętym Janem, gromadnie przybywają do Krakowa. Każda drużyna ze swoim *gazdą*, ma *kobziarza* przygrywającego na kobzie (dudzie). Nadzwyczaj zręczni w koszeniu siana i zboża, grube zarabiają pieniądze.

Drużyny liczne górali, którzy za zarobkiem idą to na węgierską ziemię, to do Polski, poznają żyzniejsze okolice, zasób i bogactwa naszych gospodarzy wiejskich, a nigdy żaden z nich nie pomyśli osiąść na dolinach i żyć w lepszym bycie i dostatkach. Tęsknota tu ich gnębi, góral wzdycha tylko za swemi górami; tam on tylko żyć może swobodnie, a szczęśliwie. Jeżeli zdarzy się, co jest osobliwością, że który z nich wejdzie w służbę na równinach, to po kilku latach wraca zmęczony tęsknotą, ze skargą, że nie mógł się zgodzić z *lachami*, bo u nich (jak wyrażają się), takie równiny jak po stole, owiec nie doją, nie zobaczysz *szumnych wirchów* (wysokich gór), a cudaczne ich obyczaje. Rad w długie wieczory zimowe góral opowiada swoim ciekawe rzeczy, co widział na dolinie, ale więcej ochoty nie nabie-

rze, aby opuścił ojczysty kraj, gdzie *choć nieraz głodno, ale swobodno.*

Placek owsiany, kartofle ze solą, i czasem jak od święta kawałek baraniny, to przysmak, to uczta górala.

Podhalanie w tak ubogiej i nieżyznej zamieszkali ziemi, uposażeni zostali za to w obszerne pastwiska, i dlatego pasterstwo głównym ich jest prawie zajęciem. A te pastwiska po obszernych *holach* z wyborną aromatyczną paszą, służą doskonale do chodowania bydła i owiec. Tych ostatnich najwięcej mają, bo bydło, krowy, woły i konie w niższych tylko trzymają górach.

Po zimie mroźnej i wietrznej, jaka tu bywa zwykle, skoro wiosenne słonko zagrzeje i wiaterek ciepławy powieje, wysyłają młodszych górali na zwiady na wszystkie strony, oczekując ich powrotu tęskliwie. Bywa to w końcu maja, albo na początku dopiero czerwca. Gdy ci wrócą z pomyślną wiadomością, że na *holach* już trawa porosła, cała ludność wiejska zaczyna się krzątać co żywo: ci czyszczą naczynia do gospodarstwa szałasowego, pobijają obręcze i naprawiają zepsute; tam wybierają *baców* i *johasów*, starcy doświadczeni podają rady, jak się zachować w czasie słót, od wilka, niedźwiedzia i t. p.

Kiedy się wszystko urządzi, i bydło już wychodzi, pasterze idący w góry na całe lato, żegnają pozostałych we wsi, życząc sobie wzajemnie zdrowia i szczęścia. Ruch ten w wiosce trwa ze trzy dni, za nim się wszyscy wybiorą. Pustoszeje wieś niemało, ale za to góry ożywiają się odrazu.

Woły mają swych własnych pasterzy, *wolarzy*, krowy pasają dziewczęta i niedorosłe chłopcy, *krowiarki* i *krowiarze*, owce i kozy pasają *johasy*. W pobudowanych na dolinach domkach z okrąglaków, nazywanych *szałasami*, mieszkają pasterze; na otwartem powietrzu stoją woły i owce, a czasami krowy.

Każdy krowiarz czy krowiarka doi swe krowy we własne naczynia i mleko zbiera w konewki, które po skiszeniu w płaskich beczułkach odwożą na koniach do domów; czasem robią masło. Każdy przyrządza sobie jadło składające się z grubej mąki owsianej wodą zarabianej, którą spożywa z masłem, albo kwaśnym mlekiem. Nie ma rządcy w szałasie krowiarskim, każdy robi, co mu się spodoba, a pilnuje swego.

Zupełnie rzecz się ma inaczej w szałasach owczych. Pasterze jednego szałasu stoją pod władzą naczelnika, nazywanego *Bacą*. *Gazdowie* czyli gospodarze i obywatele powierzają mu swe owce, za które jest odpowiedzialny, a liczba ich stosująca się do obszerności *hol*, zwyczajnie 200 do 300 wynosi.

Baca, jest to rządca szałasu: wyznacza *johasowi* liczbę owiec i miejsce do pasenia, strzeże ich, a z wydojonego mleka robi séry.

Skoro owce zbiorą się przy szałasach, rozdzielają je na barany i dójki; pierwsze wychodzą na cały dzień do *holi* w najniedostępniejsze *wirchy*, drugie wracają w południe i trzy razy dziennie dojone są, to jest rano, w południe i wieczór.

Za każdym razem mleko wlewają do potężnego kotła miedzianego, na haku żelaznym zawieszonego nad ogniskiem, zagotowują je, a za dodaniem żołądka cielęcego, ścina się mleko; wtedy *baca* sér wygniata silnemi rękoma i oddziela od serwatki, która nazywa się *żentycą*.

Z séra wyrabiają oszczepki, czyli małe baryłkowate sérki owcze, albo po sfermentowaniu rozcierają na bryndzę. Najlepsze gatunki tego wybornego séra pochodzą od owiec wypasających się na górach, a robione w lipcu i sierpniu.

Kiedy johasi pasą trzody, przez całe lato żywią się *żentycą* czyli owczą serwatką, po której pływają kawałki séra; a ten prosty pokarm przy owsianym placku nadzwyczaj służy ich zdrowiu. Nigdzie też nie widać górali tak urodziwych jak johasi, tak czerstwych a krzepkich. Żentyca szczególnie jest pomocną zdrowiu, mianowicie pochodząca z paszy na wysokich holach, gdzie rosną pełne woni kwiaty górskie, na słabości piersiowe i choroby z ogólnego osłabienia pochodzące.

Zwyczajem jest przyjętym, że trzeciego dnia po wypędzeniu do hol owiec oddanych bacy i johasom, przybywają gazdowie, właściciele ich do szałasów, na tak zwany u górali *nur*. W skopki mające wiadomy wymiar, doją sami owce, wkładają weń kijek i oddają karbując go; w stosunku do miary jego długości, obowiązani są bacowie oddawać gazdom w tydzień obliczoną liczbę funtów séra. Co tydzień

karb jeden na kijku przybywa. Taki rachunek od wieków trwa między bacami a gazdami.

Życie pasterskie, choć tak samotne przez całe lato, nadzwyczajnie polubili Podhalanie; ma ono dla nich powab nieopisany. Ktokolwiek z nich raz zakosztował tego życia, już od niego oderwać się nie może. Tęskni przez zimę, smutnieje i dopiero życia nabiera gdy ujrzy ukochany szałas, gdy popędzi owce na najwyższe wirchy.

Opowiadają górale o jednym sławnym pasterzu owiec, zwanym za młodych lat *Janoszykiem*, który odznaczył się jako johas, a później w sędziwszym wieku jako baca. Zimą był jak nie swój, siedział milczący przy ognisku, albo spał. Ale jak błysło wiosenne słonko, już nie dosiedział na miejscu. On pierwszy biegł w góry zobaczyć, czy trawa porosła, zdala krzepkim okrzykiem wydawał hasło do przygotowań na wypędzenie trzód w góry. Głos jego nowe obudzał życie w każdej chacie podhalana. Gazdowie pchali się do niego, i prosili jak o łaskę, ażeby ich owce brał na pasienie przez całe lato. Był to też bardzo uczciwy, staranny i troskliwy baca. Nigdy nikogo na włosek nie ukrzywdził, oddawał każdemu, co przynależało. Strzelec celny, miał psy cztery, co każdego rozerwały wilka, każdego rozciągały niedźwiedzia. To też i wilcy i niedźwiedzie zdala omijali nietylko szałas Janoszyka, ale i jego trzodę. Nikt lepiej nad niego nie przeczuł i nie przewidział deszczu, śniegu i mrozów. Tak przeżył lat sześćdziesiąt z okładem, gdy będzie temu lat dziesięć, Janoszyk siedząc przy kotle w szałasie, w końcu sierpnia, jakoś strasznie osowiał, opuścił głowę na piersi i słowa nie przemówił do żadnego johasa. Nagle zerwał się na nogi i krzyknął na johasów swoich:

— Chłopcy! zabierajmy się co żywo, bo nadchodzi *psota*.

Na te słowo straszne, pobledli wszyscy.

— A czy prędko nadejdzie? zapytał odważniejszy.

— Nim podołamy zejść z wirchów, już nas zachwyci. Prędzej, prędzej! uciekajmy, bo nie wiem, czy kto żywo z niej wyjdzie.

Szybko johasy posprzątali naczynia, zagasili ognisko i ruszyli z trzodą owiec, spuszczając się z wierzchołków gór.

Na pół drogi, już słońce znikło, niebo zaszło sinemi gradowemi chmurami. Po strasznej ciszy, swiszczącą wichurą zadęła burza. Lunął deszcz jak z cebra, a z nim grad w kawałach i śnieg. W jednej chwili z gorącego dnia zrobiła się doba jakby styczniowa albo lutowa. Owce padały zmarzłe, johasy potracili głowy, młodsi przemarzli i płakać zaczęli. Janoszyk przytomny widząc, że przez śniegowe już zaspy drogą na dolinę się nie dostanie, kazał spędzić owce do bliskiego lasu, i co prędzej zapalił stos ogniska, aby się rozgrzać i trzodę uratować.

Zdawało mu się, że *psota* już się kończy, kiedy o północy wichura straszniejsza zadęła; śnieg płatami padając, tworzył zaspy i góry. Ledwie ognisko utrzymać można było. Rano nieco ucichło. Janoszyk wyszedł na krawędź lasu, spojrzał po niebie, zbladł strasznie, a przeżegnawszy się, zaczął się modlić, uklęknąwszy na śniegu. Johasy zadrżeli, przeczuwali śmierć pewną.

— Chłopcy! rzekł smutno, powstawszy na nogi, już nie zobaczym wioski naszej; jeżeli który z nas przeżyje, niech powie gazdom, co się stało. Janoszyk pilnował ich dobra jak swego, ale Bóg zesłał *psotę*, tej się nie oprze. Módlmy się, aby Bóg przyjął czyste nasze dusze.

Prawie cała trzoda owiec do 400 wymarzła, psy skulone leżały jeszcze żywe, ale obok nich spoczywało dwóch najmłodszych johasów, snem wiecznym ujętych.

Janoszyk zbliżył się do nich, pocałował każdego w zimne czoło, przeżegnał, i sam legł przy nich; niedługo zamknął oczy, bladość śmiertelna pokryła czerstwe dotąd oblicze i zmarzł przy nich. Zadymka śnieżna pokryła ich zwłoki.

Dwóch tylko johasów, z liczby sześciu co ocalało i psy Janoszyka; z trzody owiec wróciło około sztuk pięćdziesiąt. Śniegi i mrozy trzymały do zimy: nie można się było dostać do owego lasu, aby uczcić pogrzebem zwłoki Janoszyka i jego towarzyszów. Na drugą wiosnę pierwsi wysłańcy w góry dla powzięcia wieści, czy trawa na *holach* porosła, znaleźli ich zwłoki tak zachowane, jakby wczora pomarli. Nadbiegli gazdowie i johasy, przenieśli na cmentarzyk wiejski i pochowali. Pobrali i owce, ile zabrać mogli, bo przemarzłe dobre były do jedzenia, ale czego nie zabrali, ą zo-

stało jeszcze do sta owiec w lesie, to nazajutrz już się dostać do nich nie mogli, bo stado wilków i kilku niedźwiedzi zasiadło do sytnej uczty, rwąc na miejscu, lub unosząc zdobycz dla nich tak łakomą.

Po tak strasznej *słocie*, w której doznali niemałej klęski górale tamtych okolic przez stratę prawie całej trzody owiec, kilka lat wycierpieli niemało; do dziśdnia przecież wspominają z żałosnem westchnieniem imie poczciwego bacy.

Górale w każdym szałasie mają po czterech lub sześciu psów wielkich. Jestto gatunek nieznany na dolinach. Całe białe, z długiemi obwisłemi kudłami i podłużnym pyskiem. Czarne ich oczy, iskrzące ogniem mówią o ich sile i odwadze. We dnie dwa psy wychodzą z owcami i oddają pasterzom niemałe usługi. Zmuszają owce trzymać się gromady, odbiegłe nawracają, w nocy stróżują przy szałasie i strzegą od wilka, niedźwiedzia i złodzieja. Owce albowiem stoją na otwartem miejscu, w czworograniastem ogrodzeniu, zwanem *koszarem*. Kiedy się kto obcy zbliża, psy rzucają się na niego i pogryzłyby go srodze, gdyby ich nie przywołali pasterze. Nadzwyczajnie przywiązane do swych panów, drogo cenione bywają; za młodego psa zwykła cena do 60 złp. wynosi. Psy te, żywią się podobnie jak pastrze żentycą i mlekiem, i nic innego jeść nie będą.

Serdeczna przysługa.

—

Przed porządną karczmą w jednej ze wsi na trakcie Lubelskim położonych, toczyła się żywa rozmowa pomiędzy jej właścicielem i jakimś młodym człowiekiem, o którym przyzwoity ubiór i rysy pełne szlachetności od pierwszego rzutu oka korzystnie uprzedzały.

— Ależ mój panie gospodarzu, puśćcież mnie na miłość boską, daję wam słowo, że najdalej za trzy dni zapłacę.. Cóżem ja winien zresztą, że mnie okradziono w waszej karczmie?

— I owszem, odpowiedział rubasznie karczmarz, idźcie sobie szczęśliwie, gdzie wam się podoba, ale wasz gniadoszek pozostanie w zastawie, dopóki mi nie zapłacicie za nocleg i żywność.

— Miejże litość człowiecze, prosił prawie ze łzami młodzieniec: moja matka chora, potrzebuje mnie widzieć, może umrzeć wprzód, nim zdołam pieszo dostać się do Lublina. A nie mam bynajmniej zamiaru was oszukiwać, możecie być zupełnie spokojni o wasze pieniądze. Mój Boże! czyż to pół rubla jest tak wielka summa, żeby jej nie można zawierzyć na słowo uczciwego człowieka?

— Tak mój panie, krzyknął gniewnie nieugięty gospodarz, może to sobie dla ciebie być niczem, ale ja ślicznie bym wyszedł, gdybym chciał dawać darmo nocleg, żywność i obrok każdemu, komu się podoba powiedzieć, że tu został okradzionym u mnie. Alboż ja wiem, czy rzeczywiście ten wędrowny, co wyszedł dziś przed świtem, wziął z sobą wasze pieniądze. Rumieniec oburzenia wystąpił na twarz młodzieńca.

— Niechże więc mój koń zostanie u was, ja darmo czasu tracić nie mogę, bo mi śpieszno do matki; ale pamiętaj chciwy i niewyrozumiały człowieku, że ciężkim grzechem spadnie na twoje sumienie i ta zwłoka, którą doznałem z twojej przyczyny, i zaaresztowanie nieprawne konia... I młody człowiek otuliwszy się płaszczem, oddalił się śpiesznie.

Już był poza wioską, gdy uczuł lekkie trącenie w ramię, i jakaś miła blada twarz kobieca ukazała się przed jego oczyma.

— Słuchajcieno młody panie, odezwała się łagodnym głosem zaczepiająca, wszakże to za pół rubla gospodarz zatrzymał wam konia?

— Tak jest moja panienko, odrzekł z pośpiechem młodzieniec, poznając w niej Teklusię siostrzenicę karczmarza, która mu wczoraj usługiwała przy wieczerzy; ale niebawcie mnie próżnemi pytaniami, bo wiecie, jak mi śpieszno.

— Ja też tego nie myślę robić bynajmniej, odrzekła z współczuciem dziewczyna, ale owszem pragnąc, żebyście się jak najprędzej dostali na miejsce, przynoszę wam pół rubla na wykupienie konia, bo wiem, że kto tak się śpieszy do chorej matki, nie byłby w stanie ukrzywdzić biednej sieroty.

— O nie! zapewnie, zawołał w uniesieniu młody chłopiec, całując rękę, która mu podawała pieniądz; Stanisław nikogo jeszcze nie oszukał... i bez dalszego namysłu zawrócił się napowrót ku karczmie, gdzie załatwi-

wszy krótko rachunek z gospodarzem, zaciął konia i w parę chwil zniknął w tumanie kurzu na Lubelskim trakcie.

W karczmie tymczasem niemało było domysłów, zkąd podróżny tak prędko wystarał się o pieniądze, a podejrzliwy gospodarz winszował sobie, że się nie dał uwieść jego uczciwą powierzchownością, i byłby się na dobre utwierdził w swojem mniemaniu, gdyby Kubuś pastuch wiejski, który się rano przypatrywał całej scenie, nie opowiedział mu o szlachetnym postępku Teklusi. Na tę wieść karczmarz wybuchnął głośnym śmiechem, i wywoławszy żonę, wraz z nią nie szczędził najzłośliwszych docinków biednej sierocie, którą jedynie najczystsze uczucie litości skłoniło do oddania jedynego skarbu nieznajomemu. Ciężkaż to była dla niej ofiara, bo wuj Teklusi, co po śmierci rodziców przyjął ją do siebie, prócz lichej strawy, nie dawał jej innego wynagrodzenia. Trudno opisać, co znosiło poczciwe dziewczę; ratowała się jednak jak mogła, nie tracąc tej błogiej myśli, że Bóg jest ojcem sierot i po długiem cierpieniu przecie ją kiedyś pocieszy. Lecz od chwili, gdy wiedziona współczuciem, wykonała tak wspaniałomyślny postępek dla nieznajomego, zdawało się, iż wszystkie nieszczęścia zgromadziły się nad jej głową, aby do reszty wyczerpać jej cierpliwość. Na domiar nieszczęścia dostała gwałtownej febry, co przecież nie skłoniło wuja, ażeby stał sią mniej wymagającym, i kiedy biedna dziewczyna przywiedziona do ostateczności, ośmieliła się prosić o parę groszy, odpowiedziano jej z przekąsem: Czekaj sobie, aż wróci twój nieznajomy, to ci odda pieniądze. Wszystko to jednak nie potrafiło osłabić wiary poczciwej Teklusi w uczciwość człowieka z tak ujmującą powierzchownością.

Minęła jednak wiosna, lato i już jesień zaczęła powłóczyć swemi barwami liście drzew i krzewów, a nieznajomy nie wracał. W tym czasie, karczmarz skończywszy korzystny interes w sąsiedniem miasteczku, przywiózł dużą jedwabną chustkę dla swojej żony. Chustkę tę karczmarka pokazywała sąsiadom, dla wzbudzenia ich zazdrości; ale niedługo chustka ta zginęła. Łatwo sobie wyobrazić przerażenie i gniew podejrzliwej kobiety. Teklusia stała się najpierwszą jego ofiarą; pomieszanie bowiem, z jakiem weszła do izby, naprowadzało karczmarkę na domysł, że to ona była sprawczynią kradzieży, i nie zastanowiwszy się nawet nad tem, co czyni, obsypała niewinną sierotę obelgami, dodając, że ją natychmiast odeślę do wójta, jeżeli się chustka nie znajdzie.

Nieszczęliwa dziewczyna dotknięta do głębi duszy tak haniebnem oskarżeniem, spłakana wysunęła się za drzwi, a korzystając z powszechnego zamieszania, niespostrzeżenie upakowała swoje manatki, i jeszcze tego samego wieczora opuściła dom swego nieludzkiego opiekuna. Karczmarz tymczasem napróżno szukając zbiegłej Teklusi, przekonał się przy tej sposobności, jak niesłusznie została posądzoną, gdyż ową nieszczęsną chustkę odebrano nazajutrz cygance w sąsiedniej wiosce. Nasza Teklusia w czasie tego szczęśliwie uniknąwszy pogoni, drugiego dnia rano ujrzała się pod murami Lublina.

Był to dzień targowy, a biedna wieśniaczka oszałomiona wrzawą, potrącana bezustannie od przechodniów, niespostrzeżenie prawie dostała się w sam środek miasta; łzy boleści cisnęły się mimowolnie do oczów. Nieznana wśród takiego tłumu, głodna i smutna wśród wesołych i nasyconych, nie mogła długo oprzeć się żalowi. Nie chcąc z siebie robić widowiska, weszła do otwartego kościoła OO. Augustyanów, ażeby się tam do woli wypłakać; ale kościół rozlegał się jakimś grobowym smętnym głosem organów, na środku stał katafalk obstawiony dokoła jarzącemi świecami, a kapłan w żałobnym ornacie stojąc u stopni ołtarza, kończył mszę żałobną.

Ten posępny widok srożej jeszcze rozdarł z bolałą pierś sieroty; przypomniała sobie zmarłych rodziców, nieludzkie obejście się wujostwa, i niemą zdjęta rozpaczą upadła na twarz przed jednym z bocznych ołtarzy, i dopiero chód kościelnego dziada, brząkającego niecierpliwie kluczami, zbudziło ją z tego otrętwienia.

Chwiejącym krokiem wyszła z kościoła, a nie wiedząc, dokąd się udać, puściła się boczną ulicą ku rynkowi; lecz po małej chwili, usłyszała szybki bieg jakiegoś człowieka, i mimowolnie prawie obróciła się w tę stronę.

— Ah! to pan! zawołała radośnie, poznając w nim młodego podróżnego, któremu dopomogła kosztem tak wielkiej ofiary.

— Tak, to ja, odrzekł młodzieniec z rozczuleniem, ja, który się napróżno dowiadywałem przed kilku dniami o ciebie, i długo zapewne pozostałym twoim dłużnikiem, gdyby nie zrządzenie Opatrzności, które cię dziś przywiodło do kościoła w czasie nabożeństwa za duszę mojej matki.

— Umarła więc, przerwała z żalem dziewczyna?

— Umarła, lecz tobie winienem, że mi jeszcze udzieliła błogosławieństwa przed śmiercią; dziś właśnie w dzień świętej Tekli, jej patronki, modliliśmy się wraz z siostrą za jej dusze.

— Jakto, dziś więc jest mojej patronki? wykrzyknęła z podziwieniem i dalej idąc za nieznajomym, opowiedziała mu w krótkości smutne wypadki swego życia, poczem wraz z nim poszła do pani Kalecińskiej zamożnej stolarki, a siostry naszego wędrowca.

—

We dwa lata potem nad samym wieczorem, kościół OO. Augustyanów zajaśniał blaskiem świateł: na chórze brzmiało Veni Creator, a przed wielkim ołtarzem klęczał suto wystrojony znany nam pan Stanisław, trzymając rękę Teklusi, która jaśniejąca zdrowiem i szczęściem stała w ślubnej sukni.

Pomimo nieludzkiego obejścia, jakiego doznawała zawsze w domu wujostwa, dobra Teklusia nie zaniedbała dowiadywać się o nich przy każdej sposobności; lecz coraz to smutniejsze dochodziły ją wieści. Karczmarz bowiem zabrnąwszy w długi, których nie był w stanie zapłacić, umarł ze zgryzoty, a żona jego przy jednej ze swych krewniaczek smutne i opuszczone prowadziła życie, doznając jedynie z rąk Tekluni, od czasu do czasu pomocy i pocieszenia.

Różności.

—

Na zgromadzeniu oddziału Towarzystwa Rolniczego w Wogerej (we Francyi) stanęła do popisu oraczy, młoda dziewczyna z pługiem zaprzężonym we dwa piękne woły. Nigdy jeszcze na zjazdach rolniczych nie widziano podobnego zjawiska; wahano się nawet, czy godzi się przypuścić kobietę do współubiegania się o lepsze w orce; ale skromność kandydatki, smutek z powodu odmowy, a nadewszystko wiadomość, z jakich powodów oddała się pracy koło roli i została najlepszym oraczem w całej gminie, skłoniły sędziów do otworzenia jej szranek popisu.

Panna Anna Szirat, ma zaledwie lat 19. Ojciec jej trzymał dzierżawę za dwa tysiące franków (złp. 3200), a przed 10 miesiącami zmarł, pozostawiwszy wdowę z małym synkiem i dzisiejszą kandydatkę do popisu oraczy. Jedynym majątkiem i sposobem utrzymania całej rodziny, była ta mała dzierżawa, której kontrakt niedawno się rozpoczął; porzucić ją w takim stanie, byłoby to samo, co przyjść do ostatniej nędzy. Anna Szirat uzbroiła się niezwykłą odwagą, pocieszyła matkę zapewnieniem, że przyjmuje na siebie gospodarstwo. Sama dokonała wszelkich robót w polu, dopełniła zasiewów ozimych i jarych, a wziąwszy się przez poświęcenie dla rodziny, do pracy rolnej, stała się najpierwszym oraczem w całej gminie Brindas. Dziesięć rówiennic towarzyszyło jej na popis, a kiedy wręczono jej zasłużoną nagrodę, one złożyły jej bukiet. Potem na wozie zaprzężonym w woły, któremi orała, odprowadziły ją do matki, odmówiwszy udziału w tańcach i zabawie, jakie miały miejsce po ukończeniu tej rolniczej uroczystości.

Widok tej przedsiębierczej choć słabej kobiety, głębokie uczynił wrażenie na obecnych; wszyscy z tym większym szacunkiem i uwielbieniem na nią poglądali, że wychowaniem swojem, do mniej ciężkiego dla niewiasty zawodu, słuszne mogła rościć prawo. Niemniej przyjemnie wzruszył obecnych jawny dowód przyjaźni okazany przez młode towarzyszki szlachetnej Annie Szirat.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 20 listop. (2 grud.) 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*